

Między Warri a Maidogurri

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

Napadnięto Abudu. Mały, prawie opustoszały już camp. Położony był niedaleko Warri. Zatrudniająca jednego czarnego kucharza stołówka-kantyna, paru Włochów, Egipcjanin mechanik, no i Janek. Ten ostatni, mając zaprzyjaźnioną polską parę małżeńską w odległym o pół godziny jazdy samochodem Beninie, chwalił sobie to miejsce bardzo.

Odbywając codzienny poranny dyżur przy radiotelefonie, z powodzi, szumów i trzasków nie mogłem wyłowić nic więcej poza *bastardi, bastardi*. Kaduna rozmawiała z Campo Brawo. Pomanipulowawszy pokrętłami, mogłem podsłuchiwać wszystkie rozmowy prowadzone z centrali. Przy szczęśliwym zbiegu okoliczności łapałem nawet Lagos i Bauczi. Sam z połączeniem miałem kłopoty, zanikał głos, głośnik chrypiał obrzydliwie. Uważałem, że dzień zaczynał się dobrze, gdy mogłem zamienić kilka zdań z kimś z naszych. Kilka wypowiedzianych po polsku słów dodawało otuchy, przenosiło myślami gdzie indziej, umożliwiało dystans do codziennej ponurej gorącości.

Bastardi — modulowane na różne odcienie głosu przekleństwo — wypełniało eter. Moja kiepska znajomość włoskiego nie pozwalała na uchwycenie sensu rozmowy. Czułem, że coś się stało. Odczekawszy dobry kwadrans i nie mogąc przerwać potoku *bastardi, bastardi*, zaczynam przywoływać mego szefa z Kaduny. Spał jeszcze. Do radiotelefonu podszedł Amakor, czarnoskóry urzędnik pochodzący z plemienia Ibo. Zawsze osowiały i apatyczny, powoli cedzący słowa, był wyraźnie podniecony, terkotał jak karabin maszynowy. Raz i drugi powtórzył na moją prośbę serwis aktualnych wiadomości. Nareszcie zrozumiałem. „Montubi” zarządził likwidację, natychmiastową likwidację małych campów wzdłuż trasy rurociągu.

Wczoraj wieczorem uzbrojona grupa dokonała napadu na Abudu. Zrabowano aparaty fotograficzne, zegarki, środki opatrunkowe, rozbito radiostację i uszkodzono wszystkie samochody. Nikt nie uszedł z życiem. Co z Janem? Amakor nic nie wiedział. Cholerny kraj. Wśród robotników firmy „Oedemi”, lejących beton na fundamenty pomp i kopiących rowy pod instalację elektryczną, też nie było spokoju. Zebrani w parę grupek dyskutują pod dającą cień świeżo wzniesioną ścianą. Gdzie majstrowie i intendent? Obchodząc cały plac budowy nie widzę ich nigdzie. Wyglądali na solidnych i inteligentnych. Dotychczas zawsze pilnowali dyscypliny i porządku. Coś mnie tknęło, aby zajrzeć do szopy — magazynu, prowizorycznego biura, gdzie leżała na regałach dokumentacja, a w kącie stał teodolit. Zamknięta na głucho. Klódki nie ma i skoble wiszą luzem. Potrząsam drzwiami i nawołuję. Są. Zabarykadowani w środku. Otwierają po dłuższej chwili, odsuwając na bok belki i skrzynie wypełnione metalowymi okuciami. Wyglądają na mocno wystraszonych. Teraz dopiero zauważam, że wszyscy trzymają w rękach maczety. Boją się. Nie chcą mówić dlaczego. Ciągłe nadśledzanie. Na dźwięk motocykla napięcie na twarzach ustępuje. Motocykl skręca z drogi i zajeżdża pod szopę. Znajomy policjant. Przez pierś wisi mu pistolet automatyczny. Zsiadając roztrąca tłum, który już zebrał się pod szopą. Byliśmy więc obleżeni. Robotnicy patrzą ponuro. Wywołuję znanych mi po imieniu. Prawie nie reagują. Gryzie w płuca gorący kurz. Wyschnięty skołowaciały język stoi w ustach, pękają wargi. Cuchnący odór potu i hałas pracującej na pusto betoniarki. Co będzie dalej?

Przybiega Asibi z wieścią, że wywołuje Kaduna. Szefostwo nakazuje natychmiast opuścić Izom. Odprawa w biurze ILF zapowiedziana jest na jutro rano. Jeśli chcę pozostać to na własną odpowiedzialność. Wszystkim czarnym członkom załogi campu Abudu połamano kręgosłupy. Dogorywają. To nie byli zwyczajni mordercy. Odżył duch Biafry. Na ścianie kantyny wyskrobano jakąś obelgę pod adresem Hausów, zapowiadając dalsze akcje. Ropa ma zostać tylko dla Ibo i ich klientów z sąsiednich plemion. „Oedemi” na majstrów angażowała Ibo. Robotnikami byli w większości Hausa, Nupe i Gwari. A więc pełna ewakuacja.

Pakuje manatki. Asibi mruczy pod nosem: „Przekłęci njamiri” Przekłęci ludożercy. Pomaga mi nosić rzeczy do campagnoli. Trochę krucho z paliwem. Liczyłem, że zatankuję w Abadzi, gdzie planowałem wybrać się za dwa dni po „Newsweek” i piwo. Kaduna jest w innym kierunku, prawie idealnie na północ. Odkąd ekipa Chiki zakończyła pracę byłem znów sam. Oni pojechali dookoła. Przez Minę Zungeru i Birnim Gwari — trasą przeszło dwukrotnie dłuższą, ale za to prowadzącą w większości po dość dobrych szosach. Ja miałem paliwa zaledwie na

250-300 km. Pozostawała mi tylko jedna droga. Na północ.

Kazio, buszujący w buszu dookoła campu, jak tylko zorientował się, że coś robię dokoła samochodu, już był gotów. Klucz od kontenera i pomieszczenia, gdzie stała radiostacja, zostawiam Asibi. Mają wspólnie z Idim następnego dnia spróbować uruchomić generator prądu i nawiązać łączność z Kaduną. Sprawdzić, czy dojechałem. Taka dyspozycja miała efekt psychologiczny, głównie dla mnie.

Nie bardzo wierzyłem, że będzie wykonana. Zabieram duży termos z coca-colą, w której pływały kostki lodu, i ruszam. Kazia nie ma. Pal diabli drania. Czuje, że coś nietęgo, więc postanowił się wycofać. Też mi przyjaciel!

Za pochopny byłem w osądzaniu innych, Kazio nie zdezerterował. Tylko nie zamierzał umrzeć z głodu. Piszcząc i ciągnąc za kraj sukni, molestował Asibi, aby skierowała kroki w kierunku spiżarni. Tam były banany. Wiedział o tym. Wyblągawszy ładną kiść, z trudem ciągnął ją po ziemi za sobą. Zdaje sobie sprawę, że możemy pomieszkać w buszu nieco dłużej. Mądre zwierzę. Pardon. Przewidujący kumpel. Bo Kazio to był prawdziwy kumpel.

Poznaliśmy się na placu budowy. Pewnego dnia dostrzegłem wtuloną w cień drewnianych szalunków, uwiązaną w pasie kawałkiem kolorowej szmatki małą małpkę. Jak ujrzała, że pochylam się nad nią, wyszczerzyła groźnie ząbki i wślazła jeszcze głębiej. Nie tędy droga do przyjaźni. Następnym razem już wiedziałem, jak postępuje dobrze wychowany gentleman. Od przekupek, które obsiadały drogę przy wejściu na teren budowy, kupiłem za dziesięć kobo trzy banany i przyjaźń została zawarta. Gdy raz i drugi wyprawiłem Kaziowi bananową ucztę, podszedł do mnie krępy, odziany w grubą wełnianą kominiarkę Murzyn i zapytał, czy kupię małpkę. Bardzo dobre *czop-czop* i kosztuje tylko siedem naira. Sam ofiarował się to *czop-czop* przygotować. Kazio patrzył mądrze i wyraziście. Wyglądało, że wszystko rozumiał. Ja też. I straciłem siedem naira. Najgorsza była pierwsza noc. Spędziliśmy ją razem, przytuleni do siebie policzkami na jednej poduszce. Kazio tak chciał. Ilekroć budziłem się, czując obok coś ciepłego i włochatego, z wrzaskiem wyrzucałem to coś na podłogę. Jak tylko zaczynałem zasypiać, delikatnie, subtelnie, po cichu, sytuacja wracała do stanu wyjściowego. Rano śniadanie zjedliśmy wspólnie i wspólnie udaliśmy się do pracy. Kazio siedział na moich barkach lub biegł z tyłu. Od niedawnego pana stronił wyraźnie. *Czop-czop* być nie chciał. Powoli poznawaliśmy wzajemne przyzwyczajenia i słabości. Bardzo lubił odgryzać końce sterczących z uciętego kolanka bambusowego flamastrów. Ja to samo robiłem z fajką. Razem tępiliśmy zawzięcie wszelkie biegające i fruujące flaje. Kazio robił to znakomicie i niezwykle skutecznie. Z zapałem chrupał karaluchy, modliszki, komary. Nie będąc w stanie odróżnić tych setek czy tysięcy przedstawicieli owadzych gatunków, z którymi mieliśmy do czynienia, wszystkie zbiorowo ochrzciliśmy z angielska flajami. One to właśnie były główną przyczyną, dla której Afryka Zachodnia jeszcze do niedawna nazywana była grobem białego człowieka. Zaszczepieni na wszelkie możliwe sposoby i faszzerowani co tydzień nowymi porcjami antymalarycznych pigułek, tępiliśmy fruujące paskudztwo z głuchą zawziętością, ponuro i bezskutecznie. Gdy nie pomagały stężone w cylindrycznych pojemniczkach rozpylane sprayem trucizn, szły w ruch gazety, kapcie, ręczniki, co popadło. Każdy, kto znalazł się po tej samej stronie barykady, był naturalnie druhem i przyjacielem. Nawet na balaskowate, obrzydliwie wyglądające jaszczurki, odkąd uświadomiono mi, że ich głównym pożywieniem są flaje, zacząłem patrzeć z niejaką sympatią. Podziw i obawę budzą tylko mrówki i termity. Te ostatnie wywierają decydujący wpływ na architekturę ludzkich domostw. W centrum Nigerii, poza miastami, podstawowym i jedynym budulcem jest i długo jeszcze będzie glina. Wprawdzie wzniesione z niej ściany i konstrukcje trzeba poprawiać po każdej porze deszczowej, gwarantują jednak doskonałą izolację termiczną i, co jest najważniejsze, są niejadalne. Dla termitów oczywiście. Drogowcy z francuskiej firmy DUMEZ nie przypuszczali zapewne, że przyjdzie im stawić czoło wyrafinowanej technice białawych, uciekających przed światłem niewielkich, owadów. Już po kilku miesiącach dokładnie zniwelowane pobocza i świeżo ułożone asfaltowe nawierzchnie zakwitwały twardymi cementopodobnymi kopczykami, każdej nocy rosnącymi wwyż o dalsze parę centymetrów. Sprowadzone z Europy walce i równiarki poradziły sobie oczywiście z owadziemi drapaczami chmur, ale po pewnym czasie należało je sprowadzić jeszcze raz i jeszcze raz. Termity łatwo nie dają za wygraną. Są bardziej wytrwałe pracowite i lepiej zorganizowane niż ludzie. Czasem w buszu co kilkadziesiąt, kilkaset metrów sterczy wysoki, smukły kopiec. Tropikalne ulewy wyrwały w nich pionowe, nieregularne żebra, rysy, nisze, na pół sklepione kominy. Stępiętego wierzchołka najwyższych nie dosięgniesz. W latach głodu, epidemii i wojen na kopcach termitów bosa matka kładła trupki swoich dzieci. Nie chciały ich oddać hienom.

Kazio wspólne podróże lubił bardzo. Siadywał zwykle na oparciu siedzenia, jedną ręką trzymając mnie za ramię. Zupełny brak wychowania wykazywał tylko w dwóch wypadkach. Gdy do campagnoli wsiadali ciemnoskórzy obywatele kraju, gdzie się urodził, a w powietrzu, nawet jeśli nie padło, to wisiało słowo *czop-czop*, Kazio się obrażał. Przenosił się do tyłu i z bezpiecznej odległości opluwał nowo przybyłych resztkami pestek, łupinami orzeszków, skórkami od bananów. Nie znosił też hamowania. Gwałtownego w szczególności. Wówczas kurczowo wpijał się w moją koszulę na karku, popiskiwał cichutko i, wstyd powiedzieć, chwilę potem czułem strumyczek czegoś chłodnego płynący po plecach. Oczywiście brał po pysku, koszula szła do prania, a ja przysięgałem, że ostatni raz jadę z tym wstrętnym małpiszonem. Następnym razem jednak już bardzo, bardzo uważałem, aby nie hamować zbyt ostro. Niestety, wyruszywszy z Izom, zapomniałem o tym i zaraz na pierwszym wyżłobionym przez wodę rowie, który zbyt późno zauważyłem, miałem konflikt z Kaziem. Przebrała się miara mojej cierpliwości. No i nie miałem czasu na zmianę koszuli. Nagłym ruchem sięgnąwszy za siebie uchwyciłem paskudnika, bo przewidując, co go może spotkać, natychmiast po dokonaniu tego, co dokonał na moich plecach, zeskoczył z nich licząc, że sprawa jakoś przyschnie. Nie patrząc mu w oczy, bo może bym i darował, otworzyłem drzwiczki i piźgnąłem łajdaka w busz. Taki jesteś, nie umiesz się zachować wśród ludzi, to wracaj do swoich!

Na campie w Kadunie i tak nie pozwalano trzymać żadnych zwierząt.

Dodałem gazu. Byłem na skłonie łańcucha pokrytych gęstą dżunglą wzgórz, po których drugiej stronie spotkałem kiedyś stado małp. Z tyłu za mną został tuman kurzu, upał i przerażenie majstrów z plemienia Ibo. Silnik pracował równo. Trawy wysokie jak łany kukurydzy zarastały zasypany niedawno rurociąg, pochłaniały zachłannie i bezwzględnie wszystko to, co maszyna i ręka ludzka zrobiły. Dawno nikt tędy nie jeździł. Nawet śladu opon. Coraz bardziej stromo. Rurociąg oszedł nieco w prawo. Drogę, którą przewożono rury, wycięto w zboczu góry. Nie konserwowaną zdążył już zasypać skalny gruz i spadłe w czasie niedawnej wichury konary drzew. Mozolnie klucząc, włączywszy na wszystkie cztery koła bezpośredni napęd i specjalne terenowe przełożenie, uważam, aby tylko nie spaść z jako tako zniwelowanego pasa. Za którymś zakrętem stop. Bez złudzeń. Dalej nie pojedę.

Ustawwszy samochód w poprzek trasy i podłożywszy mu pod tylne koła spore kamienie, idę na rozpoznanie. Piorun strzaskał wiekowego olbrzyma. Ciemnobrunatna, prawie czarna, częściowo już zmurszała kłoda zatarasowała drogę. Obchodzę ją dookoła, przedzierając się przez splątane lianami kłujące krzewy. W popłochu umyka stado dużych, podobnych do naszych perliczek ptaków. Włosi nazywali je *faraoni*. Wróciwszy do campagnoli i uzupełniwszy zapas wygotowanej, a raczej wyparowanej z chłodnicy wody, siadam w otwartych drzwiach na progu, aby wypalić fajkę.

Z boku za krzakami raz po raz coś przemyka. Strząsając nadmiar popiołu widzę, że nogą rozgniatam na pół zjedzony banan. Świeży, o żółtawozielonym odcieniu. Ki diabeł? Czyżby jacyś przypadkowi buszowi przechodnie? Dyskretnie manipulując za sobą prawą ręką odnajduję pod siedzeniem maczetę. Jak mają łuki, a zapewne mają, to i tak nie mam szans. Palce rozluźniają uchwyt i na twarz wędruje szczery, serdeczny uśmiech. Nie ma to jak właściwe przygotowanie do negocjacji i wzajemne zaufanie. Powoli układam plan. Szansę daje niewielkie, ale spróbować trzeba.

Od Izom do rzeki Sarkin Pawa jest 88 kilometrów, a od Sarkin Pawy do Kaduny dalsze 58, razem około 146 kilometrów. Nie tak znów wiele, ale pod koniec pory suszy dystans ten może być na piechotę nie do pokonania. Zrobiłem dopiero kilkanaście kilometrów. Wyciągam więc zapiętą na tylnych drzwiach stalową linę z dwoma szakłami. Maczetą obcinam cieńsze gałęzie z kłody. Już po kilku wymachach ramienia pot zalewa oczy. Nieruchoma, bliska na dotknięcie ręki ściana dżungli zatrzymuje każdy najmniejszy powiew wiatru. Ze świstem wciągam do płuc powietrze. I jeszcze jedna gałąź, i chociaż ta. I jeszcze ta. Najgrubszy konar pozostawiam. Na miękkich zupełnie nogach wracam do maszyny. Cholera. Linka jest trochę krótka, ale może jakoś pójdzie. Mocuję ją na wystającym konarze spinając szakłę. Drugi koniec zakładam na przedni zaczep wozu. Wykopuję kamienie spod kół, zapalam silnik i wrzuciwszy od razu przełożenie bezpośrednio, ruszam. Niewielki wstrząs i nic się nie dzieje. Dodaję gazu. Landrower tańczy jak mały psiak, który usiłuje wyrwać z ręki patyk. Koła wściekle miały żwir. Przełączam biegi, lekko podaję wóz w przód i ponawiam próbę. Tylne biegi i gaz do dechy. Śmierdzi sprzęgło. Kłoda jak gdyby drgnęła. Jak spalę sprzęgło, żegnaj, Kaduno! Pozostaje tylko jedna i ostatnia możliwość. Ciągnąć kłodę nie w poprzek, ale w dół stoku. Ryzyko duże. Ciągnięcie kłody w dół oznaczało konieczność ścięcia zakrętu, i to w miejscu, gdzie stromizna

była bardzo duża. Pal diabli, jak zginać, to w ostrogach. Nagłym skrętem kierownicy wypadam z trasy. Czuję, że tylne koła zawisły w powietrzu. Przodem pojazdu jestem szcepiony z kłodą. Przede mną coś trzeszczy i drży. Skała trze o zderzak, wygina go i wyłamuje. Przesuwam dźwignię biegów terenowych i wyłączam napęd tylnych kół. Nie jest potrzebny. Kłoda drży dalej, nawet przesunęła się nieco, ale prawie natychmiast utknęła. Jestem w pułapce. Żeby choć uwolnić samochód. Zeskakuję na ziemię. Nie jest tak źle. Opony tylnych kół wiszą w powietrzu, nie więcej niż na trzy – cztery palce. Znów idzie w ruch maczeta. Ściągam w dół obcięte poprzecznie gałęzie. Układam je na przeplatankę i upycham pod tylnymi kołami. Gdy kończę, czuję na twarzy i na obojczykach cienką skorupę. Sól. Najnormalniejsza w świecie. Potężnym haustem wypijam prawie pół termosu coca-coli. Boska. Co za geniusz wynalazł ten napój. Siadam za kierownicą i uruchamiam silnik. Znów psi taniec. Fruwają spod kół gałęzie i drobne kamyki. Nagle wszystko ginie w zgrzytliwym trzasku i dźwięku tłuczonego szkła przedniej szyby. Pękła linka. Lecę w dół. Jeden podskok, drugi. Szklany jazgot. Poszły tylne lampy. Na szczęście nie przyszło mi do głowy hamować, odruch warunkowy nabyty dzięki Kaziowi. Wywrotka byłaby murowana. Silnik pracuje cały czas na pół wyciśniętym sprzęgle. W przednim lusterku wyrasta wielki baobab. Steruję w jego kierunku. Ten stoi jak opoka. Żeby tylko w miarę lekko na nim wylądować. No, jakoś poszło. Pod baobabem zostały resztki tylnych lamp. Cena niewielka. Tak, ale droga na północ w dalszym ciągu zablokowana. Odsapnąwszy, wolno i uważnie wymanewrowuję campagnolę na pas montażowy. Mogę już wracać. Hm. Pan Bóg mnie skarał za postępowanie z przyjacielem. Chciałbym komuś wyrazić skruchę i pokajać się, ale nie bardzo jest komu. Zapomniałem już o bananowych poszlakach. Ale gdzie są banany? Z całej kiści nie ma śladu. Wypaść na zewnątrz nie mogły na pewno, drzwi były zamknięte przez cały czas zmagania z kłodą, a przednia, bezodłamkowa szyba, pokryta gęstą siatką pęknięć, ciągle tkwi na swoim miejscu. Czary jakieś, czy co? Nie mam czasu na zastanawianie się. Jest już popołudnie i do nocy niedaleko. Wyczepiam resztki stalowej linki i oglądam zmasakrowany tył landrowera. Gdy pochylony wykręcam zawleczkę, coś na mnie skacze. Nie jest to coś zbyt ciężkie, ale włochate i znajome. Kazio! To on wykradł banany. Po naszym rozstaniu musiał podążać za samochodem, skacząc z drzewa na drzewo i z liany na lianę. Później obserwował zmagania z kłodą i korzystając z okazji postanowił odzyskać swój bananowy skarb. Niepodobnieństwem jest aby zjadł całą parokilogramową kiść za jednym posiedzeniem. Jakby zrozumiał, nad czym się zastanawiam. Znika w buszu. Widzę go, jak miga od czasu do czasu pomiędzy krzakami. Wraca znacznie wolniej. Za sobą coś ciągnie. Oczywiście, co by innego? Prowiant. Poszło w niepamięć nieporozumienie. Patrzy w oczy wiernie, dodaje otuchy.

A może by tak spróbować tą samą drogą, nad rurociągiem, wydostać się na przełęcz bezpośrednio? Przecież musiały tędy przejść dźwigi boczne, czołówka spawalnicza i maszyna izolacyjna. No to co, Kaziu? Ruszamy? Zasypany rurociąg porósł świeżą, wyrosłą po ostatniej porze deszczowej trawą. Wyraźnie odróżnia się jasno-żółtawą zielonością od ciemnej, gęstej, zawieszistej zieloności dżungli. Jeszcze się odróżnia. Umocowawszy klemy na zaciskach akumulatora, które spadły na skutek ostatnich wstrząsów i dokonawszy małego przeglądu silnika, zamykam maskę z mocnym postanowieniem. Pieszko ruszam w kierunku przełęczy. Jest odległa zaledwie o kilkaset metrów. Tylko kilkaset metrów. Po paru krokach obsiada mnie chmara komarów. Tną niemiłosiernie. Przez koszulę, przez jeans farmerek. Nogi chlupoczą w czymś grząskim. Prawie biegiem pokonuję zakazaną strefę. Dalej już bez trudności. Dość stromo, ale powinienem przejechać. Aby tylko nie wpaść. w poślizg i nie ugrzęznąć w tym małym bagienku. Uruchamiam wóz i cofam się jeszcze kilkaset metrów. Na niezarośniętej trawą łysince miażdżę kołami niedużą kobrę. Koparka musiała wymieszać zdjętą z powierzchni warstwę humusu z tym, co tkwiło głębiej. Lemiesz zasypującego rurociąg spychacza zagarnął na wierzch warstwę jałowej gliny. Nic na niej nie urośnie, ale kobry miały solarium.

Przerzucając dźwignię zmiany biegów, napotykam pełne troski spojrzenie. Czy aby tym razem wyjedziemy? Łajdak doprawdy rozumie więcej niż niejeden człowiek na jego miejscu. Ruszyliśmy. Najgorszy jest próg szybkości, gdzieś tak około 50-60 kilometrów na godzinę. Rzuca i trzęsie niemiłosiernie. Dźwięczą szyby i podejrzenie trzeszczą złącza karoserii. Fontanna błota tryska spod kół. Brudną mazią zalepia szyby. Nurkujemy w trawiastym łanie. Idzie niespodziewanie gładko. Zdejmuję nogę z gazu. Trochę za późno. Jak czerwony bolid wyskakujemy na grzbiet przełęczy, szybujemy parę metrów w powietrzu, aby zaraz potem ciężko opaść na cztery koła. Jęknęły amortyzatory i ustawiło nas bokiem do stoku. Ale jesteśmy już po drugiej stronie kłody. W dół było stromo. Całe szczęście, że środek ciężkości konstruktorzy pojazdu umieścili w miarę nisko. Dodatkowe utrudnienie stanowił odsłonięty na

znacznej przestrzeni wykop. Woda wypłukała spulchnioną przez maszyny ziemię, którą zasypano rurociągiem, i odsłoniła stalową rurę pokrytą białym welonem izolacji. Jadę opierając lewe koła na jej powierzchni. W końcu udaje mi się wyskoczyć na nasyp i zjechać do trasy.

Rozciągając się w dole równinę zasnuwał dym wypalanych traw buszu. Czarni rolnicy używają ziemię w niezmienny od prapokoleń sposób. Nie pomagają apele władz, prasowe alarmy, instruktaże. Docierają tylko do piśmiennych, do tych, którzy czytają gazety lub mają na co dzień kontakty z przedstawicielami państwowej administracji. Nie docierają do tych, do których są adresowane.

Pożar buszu, wspaniały i groźny żywioł. Pozostawia życiodajny, użyźniający popiół i zabija, wypala, wysusza glebę. Siekająca strumieniami deszczu wichura, wiejący z północy, gorący saharyjski harmatan unosi z sobą ciekłą warstwę humusu, wypłukuje popiół i żdźbła nasion, pozostawia bezwstydnie goły, prażony słońcem ugór — pustynię. Przed dziesiątkami wieków, Sahara nie była pustynią. Magowie, artyści, przywódcy pónagich myśliwskich grup utrwalili na ścianach jaskiń wizerunki stad zwierząt, słoni, bawołów, antylop przebiegające ocean traw - Saharę. Ogień, ogień rozniecany ręką ludzką go zniszczył. Rolnik epoki kamiennej był równie groźny dla otaczającej go przyrody jak cywilizowany barbarzyńca wieku XX, rozsiewający nad tropikalną dżunglą zabójcze trucizny czy wypalający napalmem dziesiątki hektarów uprawnych pól. Zatrzymać lawinę nawyków, przyzwyczajęń, tradycji jest trudno, jest niemożliwością. W Nigerii należałoby pobudować dziesiątki kombinatów wyrabiających nawozy sztuczne, setki tysięcy kilometrów dróg dojazdowych, wyprodukować ogromną ilość maszyn i sprzętu pomocniczego i nauczyć ludzi, czarnych ludzi, jak się nim posługiwać. No i przekonać ich przedtem, że taką właśnie metodą, a nie tak, jak to czynili ich ojcowie i dziadowie, winni użyźnić swoje pole. Zadanie gigantyczne i niewykonalne. Przynajmniej dla jednego pokolenia, bo przecież wystarczy tylko, gdy wiatr już się ustali, gdy harmatan wypełni powietrze czerwonym saharyjskim pyłem, zapalić przygotowane wcześniej wysuszone na pieprz kępy traw i chrustu. Tylko zapalić, resztę pozostawiając naturze. Samemu stanąć na znanych przesmykach z łukiem lub pałą. Przerażone, osmalone ogniem *czop-czop* samo na pewno nadbiegnie, przypelźnie lub nadleci. Dobra to pora, radosna dla rolników, pora pożarów buszu. Nienawidzą jej tylko te przybłędy ze wschodu. Dumne i wyniosłe pastuchy, Fulani. Niech ich piekło pochłonie, i tak zabrali najlepsze ziemie na pastwiska i palić ogień zabraniają. Wszędzie mają swoich. Emir Kano i sułtan Sokoto są Fulani. Wielcy. Wielcy, groźni i potężni. Białych wyrzucili. Wojnę z Ibo wygrali. Z pastuchami lepiej nie zaczynać.

Okolica jest coraz gęściej zaludniona. Na dźwięk motoru wybiegają gromady dzieci. Podnoszą głowy piorące w strumykach odzież kobiety. Majaczą w oddali, skupione jak stada przepiórek, przylepione jeden do drugiego, kryte jednakowymi stożkowymi strzechami domy wioski. Droga montażowa rurociągu zmienia się w ruchliwą arterię komunikacyjną. Dużo japońskich motocykli yamaha i suzuki. Dosiadający je gentlemeni, wioskowa złota młodzież, uważają, że najelegantsze są lakierowane półbuty na bardzo wysokim koturnie. Ubrania noszą o kroju mniej lub bardziej europejskim. Zawsze czyste i z gustem dopasowane. Nakrycia głowy stanowią cylindryczne kepi bez daszków, pokryte wzorzystymi deseniami, lub zwykłe wełniane berety robione z grubo tkanej wełny. Wełna zawsze była doskonałym materiałem izolacyjnym. Przeszło pół wieku temu pewien doktor dowodził w rozprawie „Strój górali karpaccy pod względem higienicznym”, że, darujcie panie czytelniczki, temperatura w cyfrowanych portkach juhasa, uszytych z grubo foluszowanego białego sukna, nawet w największe upały jest niższa niż w sztucznych spodniach urzędnika c.k. kolei. Ci na suzuki rozprawy zapewne nie znali. Doświadczenia mają własne. Zupełnie wystarczające.

W miarę zbliżania się do rzeki Dynya ruch malał. Wszystkie wydeptane pokoleniami ludzkich stóp ścieżki odchodziły w bok i ginęły w buszu. Ostatnią towarowo-osobową ciężarówkę z drewnianą szoferką i wymalowaną na tylnej klapie krzyczącymi barwami kompozycją kowbojsko-indiańską minąłem przecinając drogę Kafia-Neguru. Z daleka dostrzegam sterczące z ziemi znajome pokrętko zasuw — znak, że rzeka jest tuż, tuż. Ostrożnie zjeżdżam z wysokiego brzegu na prowizoryczny most.

Stawiano, a raczej usypywano go przy mnie. Dwa spychacze, jeden należący do tych największych D-9, o potężnej mocy, a drugi nieco mniejszy, ścięły fragment nadrzecznej skarpy i zgarnęły go do wody. Ubita wielokrotnymi przejazdami dwóch par gąsienic ziemia umożliwiła wjazd koparki trzymającej ujętą w pół i dociskaną do hydraulicznego wysięgnika rurę o średnicy rzędu półtora metra. Niepewny kaczkowy balans maszyny, głośny plusk wody i koparka wrzuca ładunek w nurty rzeki. Ważne jest tylko, aby oś rury była w miarę równoległa

do prądu. Jak niezgrabny mastodont koparka gramoli się do góry. Zębami łyżki chwytą krawędź następnej rury, unosi ją. Podjeżdża mniejszy spychacz, podpira rurę, łyżką chwytą dalej, wyważa. Dwie tony żelastwa zsuwają się z chrobotem, spadają na ziemię. Wszystko od początku i jeszcze raz to samo, jazda w dół i plusk. Trzech ludzi, trzy maszyny, rzeka i upał. Łomot gąsienic, stękanie zagarniętej ziemi, uderzenie ton metalu o wodę. Zatopione rury zasypują spychacze. Ten mniejszy pomaga większemu nagarniać urobek. Rzeka ustępuje, brzeg przyrasta do brzegu. Zepnie je ziemny pomost. Woda płynie dołem we wnętrzu zatopionych rur. Ostatnie metry. Te najtrudniejsze. Bystry, silny nurt porywa całe góry ziemi. Spychacz ma coraz dłuższą drogę z drugiego brzegu do przepchania przed sobą mas gliniastego urobku. Nie nadąża. Woda wyrwa, wymywa, wypłukuje więcej, niż on dotaszczy. No, może starczy. Ustępuje miejsca koparce. Powinna wysięgnikiem dostać już drugiego brzegu i stamtąd zgarnąć urobek do rzeki. Zatapia jeszcze jedną rurę. Mało. Drugą. Poszła w głąb, nawet jej nie widać. Następną. Następną. Szósta czy siódma zostaje tuż pod powierzchnią wody. No, można zaczynać ostatnią operację. Ładunek dynamitu wywala na wierzch korzenie opornego drzewa. Wali się jak podcięta maczetą trzcina. Odbędzie tę samą drogę co rury przygarnięte żelaznym uściskiem wysięgnika koparki. Zatopione w rzece nie pozwoli wypłukać narzuconej ziemi. Ramię koparki pracuje jak w transie. Za każdym razem pół metra sześciennej gliny przybywa na nasypie mostu. Rzeka została ujarzmiona. Koparka przebędzie ją pierwsza. Pierwsza wpełźnie na przeciwległe zbocze.

Minął dzień. Jeden dzień na budowie stalowej magistrali. Most przetrwa do najbliższej pory deszczowej. Powódź zmyje most, wypłucze ziemię, rozrzuci stalowe rury po dnie głównego nurtu, brzegi zarośnie trawa, busz. Za pół roku nawet nie będzie śladu, że tędy przejeżdżał ciężki sprzęt, przewieziono dziesiątki kilometrów rur i że przegnano kilkadziesiąt stad garbatego bydła Fulanich. Pozostanie w rozrytym wybuchami dynamitu kamienistym dnie, troskliwie otulony cementową okładziną rurociąg. Będzie nim płynęła dzień i noc, dzień i noc, tygodnie, miesiące, lata brunatna ciecz, krew naszej cywilizacji — ropa naftowa.

Odcinka pomiędzy rzeką Dynya i Sarkin Pawa prawie nie znałem. Przejechałem go dotąd tylko raz, zapamiętałem ogrodzone niskim bambusowym płotem niewielkie poletko *gadziagi*. Niepozorna roślina budzi największe emocje. Niejaki Emmanuel Edukugho na łamach *Lagos Weekend* (10 X 1978) zapewnia, że *Indian Hemp good cure for cancer*, powołując się na decyzję gubernatora jednego z amerykańskich stanów, zezwalających lekarzom przepisywać *Indian Hemp* — indyjskie konopie pacjentom chorym na odmianę raka zwaną glaucomą. Delegalizacja *gadziagi*, zdaniem autora, jest dziedzictwem epoki kolonialnej. Tak na marginesie to indyjskie konopie, czyli marihuana, w północnych Indiach i Nepalu nazywane są bardzo podobnie jak w Nigerii, bo *gandzia*. Widać, że razem z bydłem garbatym odbyła drogę na zachód przez pół świata.

Po dalszej godzinie jazdy Sarkin Pawa. Szeroki, parokilometrowy objazd w dół rzeki w kierunku jej mniej stromych brzegów. Tam ułożono następny rurowo-ziemny most. Na drugiej stronie z dala dostrzegam czerwone przewoźne budyneczki stacji prób i umieszczony w kontenerze warsztat. Zamknięte na głucho. Pompy jeszcze nie dojechały, ale do odsłoniętego końca odcinka rurociągu wspawano już komorę wysyłki czyszczaka wraz z zaworami. Tylko patrzeć, jak rozpocznie się tłoczenie wody.

Słońce już powoli zaczyna zachodzić. Słyszac motor, błyskawicznie stają na nogi dwaj ciemnoskórzy strażnicy chrapiący dotąd smacznie. Starszy i widać ważniejszy godnie przyjmuje postawę zasadniczą, trzymając na ramieniu cięciwę łuku. Na gołe ciało włożył elegancką kiedyś marynarkę z oberwanym rękawem i połową kołnierzyka. Tłumaczy, że powinienem tu z nimi zostać, bo dalej zła droga. Stary zwariował. Przecież, właśnie ód strony Kaduny dowieziono sprzęt do prób. Nie mogę go przekonać. Zostało tylko niecałe półtorej godziny jazdy. Pospiesznie sprawdzam światła. Mam tylko jedno, i to krótkie. Musi wystarczyć. Ale lepiej nie ryzykować. Kilofem, stanowiącym wraz z łopatką i linką żelazne wyposażenie każdej campagnoli, wywalam kłódkę od magazynku. Mieści się w stalowym kontenerze. Stary patrzy przerażony, ale nie reaguje. Pamiętam, że jeszcze w Izom wrzucono do tego magazynku parę opakowań kompletnych reflektorów. Jeśli je znajdę, mogę jechać dalej. Są. Jest też prawie nowa kłódka z kompletem kluczyków. Zakładam ją. Jakoś załatwię to włamanie. Nie tracąc czasu na wymianę i sprawdzanie kolejnych żarówek, zakładam całą nową lampę. Świeci OK. Równiarka musiała jechać tędy niezbyt dawno. Leci się jak po stole.

Przede mną morze płomieni. Ciężka opona ciemnego, gęstego, prawie czarnego dymu zajmuje prawie cały horyzont. Na tle ciemniejszego nieba widać wyskakujące ponad wierzchołki drzew języki ognia, krwistoczerwone bariery żywiołu zżerającego busz. W górze,

rozpaczliwie bijąc skrzydłami, krążą ptaki tracące w płomieniach młode w gniazdach.

Czuć swąd i spaleniznę. Z prawej i lewej strony bieleje popiół. Sterczą ku niebu szerniałe i osmalone kikuty drzew. Zwalone kłody zachowały żar. Każdy podmuch wiatru przywraca je do życia. Zakwitają małymi, wiotkimi płomykami. Pożar nie przeszedł bokiem. Objął setki, tysiące hektarów buszu. Kaduna jest za nawałą ognia. Trzaskający płomieniami i swądem huczący wawóz płomieni ziejże grozą przede mną. Lecą w górę unoszone ciepłym prądem powietrza niedopalone źdźbła trawy, tłące się liście.

Świateł, choć słońce już zaszło, nie trzeba włączać. Po zasięgu horyzontu trasa rurociągu odcina czarną krechę na gorącym, rozżarzonej dywanie płonących traw. Muszę go przebyć. Zdejmuję z dachu zapasowy kanister wypełniony benzyną. Przelewam ją do baku. Pusty wrzucam do wnętrza.. Na wszelki wypadek sprawdzam, czy przy gaźniku nie ma wycieku paliwa. Zakręcam szyby i wio. Aby do przodu. Przerażony, zamarty ze strachu Kazio chowa głowę pod moją pachę. Po paru minutach w środku wozu zaczyna być nieźle gorąco. W duchu modłę się, aby tylko jakimś większemu drzewu nie przyszło na myśl dokonać żywota w poprzek mojej drogi. Płonąca kula jak szalona przelatuje z jednej strony trasy na drugą. Duży prawie jak kot *oku*, stepowy szczur, kończy życie pod kołami. Los jego był i tak przesądzony.

Nagle wypadam w ciemność. Włączam światła. Buszowe inferno już poza mną. Jestem na piaszczystej grobli przecinającej błyszczące czarnymi lustrami wody rozlewisko jakiegoś strumienia czy rzeki. W pędzie przelatuję obok uśpionych, baśniowych w świetle księżyca, słomianych, stożkowatych strzech pojedynczych zagród. Przed nią parkuje potężna, rozkraczona jak krab równiarka. Operator widać korzysta z gościny gospodarza i uprzejmości którejś z jego żon. Patrzę na licznik. Tylko trzydzieści parę kilometrów. To już betka. Nie zdejmując nogi z gazu, sięgam po termos. Pusty. Wysączam z niego tylko parę kropel ciepłej, paskudnej cieczy. Został tylko banan. Ostatni. Kazio nawet nie protestuje.

Nie zdążyłem do końca obedrzeć skórki, gdy zamajaczył mi w światłach zarys dużej ciężarówki dziwnie przechylonej na bok, i jak gdyby w czymś zatopionej. Hamuję w ostatnim momencie z poślizgiem i w strumieniach gęstego, momentalnie przysychającego do szyb błota. Ciężarówka, to wóz sprzętowy ekipy Chiki, wyposażony w dwie spalinowe spawarki, zestaw butli z tlenem i acetylenem oraz urządzenie do cięcia rur, tkwi w błocie, zepchnięta na bok traktu. Bajoro z tej niższej strony sięga do drzwi szoferki. Tak, teraz wiem, dlaczego strażnik przy Sarkin Pawa odradzał jechać do Kaduny. Niespodziewany wypływ podskórnych wód zamienił przejezdny nawet dla normalnych samochodów odcinek trasy w nieprzebyte grzęzawisko.

No to nocujemy, trudno. Komary tną niemiłosiernie. Nie pomaga fajkowy dym i rozcierana na skórze mieszanina ropy naftowej z octem — wynalazek któregoś z Włochów. Dojrzeła postanowienie. Jak nocować, to w komforcie i po kąpiel. Zapalam silnik. Nie zaskakuje od razu. Trzeba go będzie oddać jutro do przeglądu. Wracam do najbliższego pagórka. Aby tylko nie przypakować w wóz sprzętowy, bo będzie krewa. Uszy do góry, pierś do przodu. Najważniejsze to chcieć, jak mawiała w krytycznych momentach dziewiczego żywota pewna moja znajoma.

Dwójka. Trójka. Czwórka. Wyciągam dźwignię przełożenia terenowego. Wóz traci zdolność do manewrów. Jak rozpędzony bawół wpada w bagno. Kurczowo trzymam oburącz kierownicę. Aby tylko nie zarzuciło na ciężarówkę. Aby tylko. Nie widzę nic. Błoto oblepia szyby. Tańczę. Czuję, że przednimi kołami załapuję już twardy grunt, gdy zalany silnik gaśnie. Z bulgotem opadam nieco niżej. Cholera, żeby go nie zalało, to może bym przeskoczył. Wyciągam ze schowka w desce rozdzielczej latarkę i otwieram drzwi. Dosłownie parę metrów dalej bagno się kończy. Wysunąwszy jednak nogi na zewnątrz od razu wpadam prawie po uda. Kazio, elegant psiakrew, pokonuje je skokiem, startuje z maski. Pał diabli landrower, jutro go wyciągną, a ja nocą chyba przejdę te dwadzieścia parę kilometrów, bo tyle już tylko mi zostało do Kaduny. Nocą można spróbować.

Wyżawszy skarpety i otrzepawszy się jako tako z błota, zaczynam iść. Kazio radośnie podskakuje przede mną. Jemu też obrzydła motoryzacja. Trakt łagodnym zakrętem bierze nieduży pagórek. Na nim stoi kanciasty, ciemny bryłowaty kształt. Caterpillar D-9. Kazio już zajął miejsce operatora. Pokazuje mi bestia drogę. No, nie zostawię campagnoli. Nigdy jednak przedtem nie kierowałem tym typem kilkusetkonnego spychacza, i to wyposażonego w zestaw dźwigni sterujących zamocowanym z tyłu na hydraulicznych siłownikach zrywakiem. Spróbujmy go najpierw uruchomić. Kluczyka nie ma, ale wyciągnięty zza cholewy butów nóż łączy obwód startera. Za którymś podejściem silnik zagrał. Teraz nauka sterowania

dźwigniami. Jest ich dużo. Dużo za dużo. Wycinam parę zabójczych piruetów na jednej gaśienicy, łamiąc, niejako przy okazji, dość poważnych rozmiarów drzewo, zanim opanuję jako tako sterowanie kolosem. Tyłem podjeżdżam do bagniska. Reszta to bajka. Nieco problemów tylko z zamocowaniem, a raczej przeciągnięciem pod przednią osią campagnoli stalowej liny znalezionej obok caterpillara. Musiałem prawie położyć się w bagnie, ale, mówiąc szczerze, i tak już mi było wszystko jedno. Zaczepiwszy drugi koniec o stalowy pazur zrywaka i wrzuciwszy na luz biegi campagnoli wracam na stanowisko operatora. Teraz najważniejsze nie urwać nagłym szarpnięciem liny, bo landrower, siedząc całym podwoziem w bagnie, będzie stawiał duży opór. Z napięciem, czując, jak pot występuje mi na skronie, delikatnie, jakbym naprawiał skomplikowany mechanizm, milimetr po milimetrze odpuszczam dźwignie sprzęgieł obu gaśienic. Nogą naciskam pedał gazu. Naprężyła się lina, zagdakał na wyższych obrotach silnik i... powoli, bokiem, bo nie miał kto trzymać kierownicy, moja campagnola zaczęła dryfować za ciągnikiem. Kilka minut i po wszystkim. Do Kaduny dojeżdżam bladym świtem. Z twardego snu obudzono mnie na kolację. Spałem dobę w butach. Prysznica wziąć zapomniałem.

Nie jest w pełni wyjaśnione, jaką rolę odgrywały brązowe i mosiężne głowy władców, Beninu. Figurki węży, lampartów, baranów, kogutów i metalowe plakiety z pełnymi ekspresji płaskorzeźbami przedstawiającymi kolejnych *oba* w towarzystwie dostojników dworu i sceny z życia pałacowego. Stanowiły prawdopodobnie rekwizyty kultu przodków, bo znajdowano je głównie na ołtarzach! Są też takie, które przedstawiają białych żołnierzy odzianych w pancerze. Miedź, niezbędna do wykonania stopu z cyną lub cynkiem, była w tej części Afryki artykułem deficytowym tak dalece, że obok muszelek kauri miedziany drut i bransolety z brązu zwane manila, w czasach handlu z Portugalczykami były używane jako powszechnie uznany środek płatniczy. Trwają ciągle jeszcze spory, w jaki sposób i kiedy skomplikowana technologia wykonawstwa precyzyjnych odlewów metodą „traconego wosku” dotarła do Beninu. Lokalna, tradycja podaje, że już za pierwszych *oba* z obecnie panującej dynastii wezwano z Ife biegłych w tej sztuce rzemieślników. Zorganizowani w na pół religijne bractwa, korzystając z mecenatu królewskiego dworu, przekazywali umiejętności z ojca na syna.

W XVI i XVII wieku Portugalczycy zamawiali u benińskich mistrzów rzeźby z kości słoniowej. W zamian dostarczali miedź. Niewykluczone, że pochodziła ze śląskich kopalń. Przed wiekami to Europa dostarczała surowce do Afryki, w zamian za dzieła sztuki. Do naszych czasów zachowało się około 7000 egzemplarzy benińskich brązów, powstałych na przestrzeni minionych pięciu wieków.

Jedynie znikomy procent można znaleźć tam, gdzie być powinny, to jest w benińskim muzeum. Większość jego eksponatów to jedynie kopie. Niewykluczone, że niektóre z nich są w Polsce. W jednym z zamków na ziemiach zachodnich znajdowała się całkiem przyzwoita kolekcja sztuki ludów Afryki i drogocennych odlewów. Po zajęciu zamku przez Armię Sowiecką kolekcja uległa rozproszaniu. DESA nie odnotowała pochodzących z niej obiektów. Najprawdopodobniej wyspecjalizowane w łemkowskich ikonach i rodzinnych srebrach paniusie nie chcą przyjmować dziwnych metalowych skorup i odsyłają ich posiadaczy do składnic złomu?

Parę lat temu, gdy telewizja pokazała film „Testament Barona”, zgłosił się do mnie jegomość, niejaki pan B., zamieszkały, w Wałczu. Złożył propozycję sprzedaży za jakąś zupełnie astronomiczną sumę przedmiotów pochodzących rzekomo ze skarbu ostatniego mongolskiego chana Ungerna. Nie skorzystałem. Zachowałem tylko zdjęcie plakiety z brązu wyobrażającej dziwne zwierzę podobne do konia z długą szyją i spiczastym pyskiem oraz bardzo duży dzban z przytwierdzonymi doń na stałe drobnymi kółeczkami. Właściciel sugerował, że napis wyskrobany po drugiej stronie plakiety wykonany został w Mandzurii. Biegły sinolog, któremu to pokazałem, popatrzył na mnie tylko z politowaniem. Napis tam był, rzeczywiście, ale najprawdopodobniej w *nsibidi*, piśmie znanym od dawna wśród członków tajnych religijnych stowarzyszeń plemienia Ibo w południowo-wschodniej Nigerii. Proporcje i ornamenty naczyń do złudzenia przypominały znajdujące się na dzbanach z Igbo-Ukwu w stanie Anambra.

Swego czasu odkopali je brytyjscy archeolodzy.

Głucho, jednostajnie wyją pompy. Wibrują zbrojone stalowym pancerzem gumowe węże. Na dnie wykopu tkwi zasypiana do połowy komora czyszczaka. Na niej bateria zaworów i króćców dla aparatury pomiarowej. Reszta rurociągu ginie w ziemi. Gdzieniedzie zaczynają

jest ostatni dzień starego roku? Nikt nie wie.

Z Kaduną znów się nie można połączyć. Nawaliła radiostacja albo tamci są już zupełnie pijani. Skurwysyny. Zapomnieli o nas. Jeszcze tylko dwadzieścia dwie godziny, osiemnaście, siedem i ta najdłuższa. Koniec. Podpisuję protokół.

Idziemy spać. Prysznic i spać. Długo, jak najdłużej, przez całą resztę życia. U Darka, mieszkającego teraz w Dżos, bo nadzorowana przez niego identyczna z moją stacją pomp była niezbyt daleko od miasta, któryś od „Halcora” wypisał na gołym biuście przypiętej nad łóżkiem dziwki z *Playboya* deklarację: „I would spend the whole of my life constructing pipelines if I could anywhere borrow another life to spend at home”. W wolnym tłumaczeniu sentencja brzmi:

„Chciałbym przez całe moje życie budować rurociągi, jeśli mógłbym gdziekolwiek pożyczyć drugie, aby spędzić je w domu”.

Ci z Kaduny nie zapomnieli. W czasie gdy spałem, przyleciał helikopter z pocztą, życzeniami i dużym wiklinowym koszem pełnym butelek różowego portugalskiego wina „Mateusz”, whisky, najróżniejszego żarcia. Znalazła się nawet flaszka Smirnoffa, Nowy Rok będzie dopiero jutro. Z powodu niemożliwości porozumienia przez radio wysłali już raz wóz. Nie dojechał. Zleciał do głębokiej rozpadliny jeszcze przed Sarkin Pawą. Leżącą czterema kołami do góry campagnolę zauważył dopiero pilot helikoptera. Być może czarny kierowca z plemienia Ibo, a więc chrześcijanin zaczął degustację „Mateusza” zbyt wcześnie. Za bardzo po kawaleryjsku trawersował stromo opadające w dół skaliste zbocze. Na ostrym skrawie landrower wyskoczył. Tego, co nim jechał, pochowano w pobliżu rurociągu. Głęboko, bo był bardzo lubiany, aby go hieny nie wykopały. A więc urządzamy w Izom sylwestra sami. Asibi obiecuje sprowadzić siostrę i dwie przyjaciółki. Dziewczyny zostały zresztą już zaproszone. Przyszły z samego rana pomóc Asibi przy przygotowaniach do uczy, okupowały też sąsiedni kontener z umywalkami i prysznicami. Robiły się na bóstwa. Najważniejszą częścią toalety było uczesanie. Nie na żadne tam afro. Głupawy wymysł paryskich fryzjerów, zmałpowany przez piękności Nowego Świata i Europy. Na klepisku salonu piękności przy izomskim placu targowym, na pokrytej liszajami brudu splekanej ścianie, obok strzaskanego fragmentu lustra wisiała przywieziona z Lagos plansza prezentująca główki czarnych pań. Katalog propozycji. Dwadzieścia cztery fryzury, Takie jakie nigeryjscy mistrzowie grzebienia i nożyczek polecali klientkom. Każda miała własną nazwę. Niektóre były romantyczne: „Noc poślubna”, „Skok lamparta”, „Most w Lagos”, „Jama Iwa”. Zapamiętałem *Uton eku etine* — propozycja dla panny młodej. *Mkpuk eba* dla nieco starszej matrony, *Eba nxainferi* dla panienki, dziewicy prawie. Pierwsza to była ogromna ilość warkoczyków, ale tak zmyślnie zaplecionych, że tworzyły równoległe rzędy schodzące się z tyłu głowy i tam dopiero dawały jeden duży kok. Druga, warkoczki jak wyżej, ale wyrastające wprost, każdy w innym kierunku, i po połączeniu podobne do hełmu kosmonauty. Ta trzecia to mnóstwo strasznie śmiesznych małych supełków i koczaków, niezwykle twarzowych dla nastolatek. Płeć piękna każdego plemienia ma swój ulubiony styl uczesania. Plansza popularyzowała modę Joruba, ale przy takim *etine iso inang* była uwaga, że to styl Fulanich, a przy innym znowu, że Kanurich. Nazwy i kompozycje damskich fryzur były najrozmaitsze. Podstawowym elementem konstrukcyjnym każdej z nich pozostawał zawsze... warkoczek. Długi, średni, krótki, cienki, niezwykle ściśle upleciony, że nie można było w niego wbić nawet szpilki. Obok warkoczyków przeświecała odsłonięta skóra. Starsze kobiety, te, które musiały miejsca na męzowskiej macie coraz częściej ustępować młodszym żonom, w kieracie codziennej harówki nie miały czasu na dbanie o wygląd własnej głowy. Po prostu je goliły. Nosicielka fryzury typu afro, przebywając w wilgotnym, upalnym, pełnym pyłu i legionów insektów afrykańskim interiorze, bardzo szybko zmieniałaby uczesanie albo sprawiła sobie gustowny młoteczek, jak któryś z francuskich Ludwików, do wybijania co bardziej dokuczliwych jego lokatorów. Eleganckie Nigeryjki nie musiały tego robić. Warkoczkowate fryzury trzymały się bardzo długo. Z czasem można się było z nimi oswoić. Najtrudniej szło tym, co zapragnęli bardziej dokładnie poznać duszę i intelekt ciemnoskórych pań.

Głucho bijąc się w piersi i zakładając, że nie będą tego czytać moje córki i ich mamy przyznaję bez bicia, że należałem do nich. Tak. Miałem czarną kobietę. Kupiłem jej miłość za butelkę miejscowej whisky. Nie, chyba za 20 naira. To były dwie butelki. Szanowała się. W czarną parną noc beznadziei i oszołomienia przywoziłem ją do kampy. Dumnie siedziała w szoferce. Była naprawdę piękna. Wyrzeźbiona w hebanie głowa. Szlachetne chemiczne rysy plemienia Fulanich. Wydawała się faraonówną z rodu. Nosiła się dumnie. Wyprostowana. Pachnąca. Powiewna jedwabna szata idealnie przylegała do bioder, długich nóg, piersi.

Wyraźnie zyskałem w oczach dozorców.

Tych z takobami w dłoniach. Podobała się jej muzyka z Europy. Najbardziej piosenki MAZOWSZA. Nagranie miałem na magnetofonowej kasecie. Wspólnie wzięliśmy prysznic. Wypiliśmy "Mateusza". Potem drugiego. I... Nie stało się to, co stać się powinno. Zawinił fryzjer!!! Dziewczyna wylądowała już na moim materacu. Zgasilem światło. Zapanował prawie zupełny zmrok. Na przeciwległej od okna ścianie majaczyły odległe cienie lamp zawieszonych na ogrodzeniu Nawet nie wiem jak to się stało, że moja ręka zabłądziła w rejon warkoczyków. Cofam ją w popłochu. Odnóża jakiegoś wielkiego owada? Kable elektryczne? Gniazdo małych żmij? Erotyczne emocje opadły. Dość radykalnie. Śmiejemy się oboje. Była jeszcze trzecia butelka "Mateusza". Cholernie dobre wino. Dziewczyna nabrała po niej tkliwości. Czułości. Kociej miękkości. We mnie obudził się tygrys. Zsunęła szatę. Miała na sobie tylko ją. Podniosła ciało do góry. Oparła na łokciu. Nie widziałem jej twarzy, tylko zarys piersi. Tygrys wyje. Nie jeden. Całe stado. Zjawisko unosi się jeszcze wyżej. Mam jej uda tuż przy twarzy.. Niech tak będzie. Tygrysy szaleją. Pieści moje nogi. Załamania pod kolanami. Stopy. Delikatnie. Aksamitnie. Puszyście. Czekam. Czekam na to najważniejsze. Cierpliwie. Długo. Strasznie długo. Tygrysy dochodzą do kresu. I nagle dzieje się coś czego się nie spodziewałem. Dziewczę zaczyna ssać. Mój duży palec u nogi. Ten największy. Zgłupiałem zupełnie. Tygrysy też. Z podkulonymi pod siebie ogonami uciekły w busz. Na całą resztę nocy.

Uczę zaczęliśmy o zmierzchu. Z kaset przygrywały najlepsze orkiestry świata. Partnerki były zachwycające i zachwycone ilością *czop-czop*. O przestrzeganiu przykazań diet nigdy nie słyszały. *Czop-czop* pochłaniały z radością i entuzjazmem. Nareszcie mogły to robić legalnie. Nikt z nas nie lubił, gdy niedojezione resztki spaghetti czy kawałek befsztyka niejako automatycznie dokańczała Asibi lub któraś z jej pomocnic. Prośby i groźby nie pomagały. Polecenia, aby sama jadła do syta i do woli przed nami, też nie dawały rezultatu. Nawyk. *Czop-czop* nie może się zmarnować. Damy piły tylko herbatę i coca-colę. Kapsle od butelek zdejmowały zębami, te od naszych piw również.

Wymknąłem się na dwór. Nikt nie zauważył. Nie mogłem odnaleźć w górze Wielkiej Niedźwiedzicy. Może już odeszła z tego nieba. Potrafiłem puste puszkę, butelkę, tarzającą się na ziemi parę, omijałem rozkraczony sprzęt. Zapragnąłem nagle uciec, uciec stąd raz na zawsze. Nie wiem, nie pamiętam, jak długo szedłem. Nie czułem uderzeń nocnych chrząszczy, ukąszeń komarów, mdłego smaku wzbijanego butami pyłu. Byłem pijany. Pochłonęła mnie ciemność, wilgotny chlebowy upał i upał afrykańskiej nocy. Gdzieś niedaleko szumiała Gurara, a trochę dalej, chyba na drugim brzegu, za mostem, słyszałem tam-tam. Coś mówił, coś przekazywał, kogoś nawoływał. Prosty, czysty, klarowny, wytłumiony zielonością dźwięk. Zostawiłem za sobą tamtych. Odległość wyciszyła zupełnie warkot generatora, wzgórze skryło łunę jodowej lampy oświetlającej camp. Tam-tam przyciągał, wabił, kusił. W końcu dotarłem do niego. Do dużej glinianej szopy.

Przez niedomknięte, obite falistą, cynkowaną blachą drzwi sączyło się niemrawo migocące światło. Wnętrze wypełniał głos. Jego głos. Drzwi skrzypiały, uchylając raz po raz kaprawe skrzydło przed postaciami, które wchodziły do środka. Było ich coraz więcej, niektóre wydawało mi się, że poznaję. Że widziałem je na placu budowy, na drodze, na targu. Dołączyłem do nich. Stałem tuż przy wejściu pod ścianą. Napięty, rozdygotany, Bałem się nie wiadomo czego. Szczęki ścisnął skurcz. Z trudem przełykałem ślinę. Chciałem być niewidoczny. Wniknąć w ścianę. Roztopić się w tłumie. Nikt mnie nie widział. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Oddani swoim myślom i swoim sprawom ludzie skupili się pod ścianami. Siadali lub kładli się na koślawych rozrzuconych po całym wnętrzu ławach, kucali. Na podłodze, zwykłej glinianej polepie, spały dzieci. Jedna, przechylona na bok, kapiąca stearyną świeczka stała na futrynie bocznych, prowadzących nie wiadomo dokąd drzwi. Tam-tam ucichł. Nikogo już nie przywoływał. Gromada ludzi trwała, jakby na coś czekając. Mijały minuty. Bardzo długie minuty. Może kwadrans. Nagle cicho, prawie bezszelestnie uchylły się drzwi, powiew powietrza zachybotał płomieniem świecy. Schylając głowę, wszedł przez nie ktoś wysoki, ubrany w białą, przepasaną sznurem szatę. Stał tyłem do nas i podniósł do góry obie ręce. Odezwał się tam-tam. Teraz wtórowały mu dwa mniejsze. Tłum zafalował, drgnął, zakotywał się, zatupał zgodnie wybijanym bosymi stopami rytmem. Tłum tańczył w miejscu. Tańczył z kimś czy z czymś, co było przed nim. I to jak tańczył, płynnie, z genialnym wyczuciem rytmu i każdej najdelikatniejszej frazy bębnów. Na czyjś znak nagle ucichły, urwały w połowie, zdławiły swój głos. Człowiek odwrócił się twarzą do reszty. W ekstazie, w uniesieniu krzyczał: Alleluja,

Alleluja, Alleluja! Teraz dostrzegłem za nim na tle otynkowanej ściany krzyż. Jedno ramię miał na wół odłamane.

Do campu z Pasterki wróciłem bladym świtem. Mała dziewczynka o delikatnej twarzyczce, z przywiązaniem do pleców noworodkiem siostry Asibi, czekała siedząc na schodkach kontenera, gdzie mieszkali Włosi, aż matka da mu pokarm. Ze strachu na widok *bature* z drżących łapiąt wypadły jej resztki *czop-czop*, zgarnięte z nie sprzątniętego stołu. W ropiejącym, spuchniętym oku żył robak, gruby, tłusty, dochodził już do źrenicy. Za pół roku, za parę miesięcy dziecko oślepie. Na całą resztę życia. Z *loa-loa* potrafił wyleczyć tylko stary czarownik Koro pod Zumą. Policja go zabrała. Hinduscy lekarze szpitalika w Abudzi nie chcieli jej leczyć. Może po prostu matka dziecka nie chciała sprzedać obu czarnych kóz. Nie wiadomo zresztą, czy 40 naira pokryłoby koszty leczenia. Niedługo przez Izom przejdzie wielka asfaltowa droga, będzie duży ruch. Będą czasem przejeżdżali biali. Ślepej dziewczynce może któryś czasem rzuci 20 kobo?

Najbliższe dwa dni „Montubi” leczył kacą, próba skończona.

Postanowiłem zrealizować powzięty już dawno zamysł, odszukania doliny Tarugi. Jest podobno 55 kilometrów na południowy wschód od Abudzi, więc gdzieś pod Nasarawą, którą mijamy, ilekroć z Campo Bravo jedziemy do Kaduny. Taką informację znalazłem w książce Thurstana Shawa *Nigeria. It's archeology and early history*. Kupiłem ją kiedyś i nie mając po którymś już miesiącu spędzonym w Izom nic do czytania, wziąłem do ręki. Rozważne dzieło. W bibliografii, obejmującej pozycje przeszło trzystu autorów, parę polskich nazwisk — wśród nich profesora T. Lewickiego, piszącego o arabskich źródłach do poznania historii Afryki na południe od Sahary i arabskim handlu niewolnikami. Mnie zelektryzowało co innego. W pobliżu opuszczonej kopalni cyny i tantalitu koło wsi Takuszara leżącej we wspomnianej dolinie, przypadkowo znaleziono w 1960 roku dwie figurki z terakoty. Obie, prawie tej samej ćwierćmetrowej wysokości, przedstawiały półnagie bezgłowe, odziane wyłącznie w przepaski na biodrach i podtrzymujące rękami piersi postacie kobiece.

Były niezwykle podobne do człekokształtnych figurek, głów ludzkich i masek, odkrytych w aluwialnych osadach poniżej wyrobisk starych kopalń cyny w rejonie Dzos. Pierwszą odkupił od kopacza, który używał jej jako stracha na ptaki, inżynier górniczy i przekazał do muzeum.

Po bliższym zbadaniu okazało się, że pochodzi z V wieku przed naszą erą. Archeologowie kulturze grup ludzkich lepiących z gliny i wypalających niewiadomego przeznaczenia kruche przedmioty, nadali nazwę kultury Nok. Znaleździ koło doliny Tarugi zachęciło do dalszych poszukiwań. I tu wybuchła bomba. Przekopując płaską terasę pomiędzy dwoma wysychającymi w porze suchej strumieniami odkryto... hutniczy żużel powstały przy wytopie żelaza. Badania przy zastosowaniu protonowego magnetometru wykazały dokładnie dwadzieścia stanowisk, gdzie występował. Kontynuując prace, odkopano trzynaście pieców hutniczych... najbardziej prostych i prymitywnych, jakie sobie można wyobrazić, ale w których można było wytapiać rudę żelaza; zagłębienie hutnicze działało w połowie... piątego wieku przed naszą erą. Ludzie kultury Nok, przodkowie plemion mieszkających dziś w Nigerii na północ od Nigru i Benue, mieli w powszechnym użyciu żelazne miecze, ostrza do strzał, narzędzia i kobiece bransolety. Przed dwudziestu pięciu wiekami! Uczni spierają się, w jaki sposób wynaleziona w połowie drugiego milenium przed Chrystusem gdzieś na południowych stokach Kaukazu technologia wytopu żelaza dotarła aż prawie nad Niger, i to mniej więcej w tym samym czasie, gdy żelazo zaczęło być w powszechnym użyciu w Egipcie faraonów. Piece koło Takuszary są najstarsze z odkrytych dotychczas w Afryce. Kartaginę od Takuszary w prostej linii, prawie wzdłuż południka, dzieli dystans około 3100 kilometrów. *Know-how*, jak wytapiać i obrabiać żelazo, rozprzestrzeniające się przed dwudziestu pięciu wiekami w głąb afrykańskiego kontynentu, musiało przeniknąć przez Saharę i dotrzeć do dobrze zorganizowanych i sprawnie administrowanych plemion.

Nie odnalazłem doliny Tarugi. Ugrzązłem na długo pod prysznicem w bungalowie Roberta, znajomego geodety od „Dumeza” mieszkającego w pięknym campie tuż za Abadzi. Myłem się długo, wielokrotnie, do krwi. Szorowałem obie ręce, oblałem benzyną i spaliłem koszulę, zdarłem pokrycie siedzeń mojej kompanioli, zdarłbym skórę z samego siebie. Traąd. Niedaleko za Izom zabrałem dwie młode autostopowiczki. Szykownie, świątecznie ubrane w długie, ciasno opięte na zgrabnych figurach suknie. Jedna, miała oryginalne rysy i bardzo ładną buzię zamysłonej bogini. Nie należały chyba do żadnego ze znanych mi w okolicy plemion, natomiast zupełnie przyzwoicie można się było z nimi porozumieć po angielsku. Ładniejsza puściła przodem towarzyszkę, taką jakby trochę nadętą czy spuchniętą na twarzy, sama siadła przy drzwiach. Pomyślałem: trudno. Trochę było ciasno, mimo dość szerokiego przedniego

siedzenia, bo dziewczyny były w biodrach wcale wcale. Chcąc wciągnąć do rozmowy i tę milczącą, zacząłem targować noszony przez nią śmieszny rożek antylopy, bardzo spiczasty, którego koniec, ten szerszy, obsztyty był skórą i zakończony pętelką, aby można go było, włożywszy w środek dłoń, nosić jak breloczek czy bransoletkę z wisiorkiem. Poprzednio widziałem go już u fulańskich kobiet. Dowiedziałem się od nich tylko tyle, że nazywa się *kahu marili*. Niech będzie *kahu marili*, ale do czego służy i w ogóle po co się go nosi? Odpowiedź z lekka mnie zaszokowała. Do obrony cnoty. Dosłownie. Nie, nie pokręciłem. Do obrony cnoty. Rożek ujęty w dłoń wystawał mniej więcej na jedną trzecią, no może nawet połowę długości. Nie wyglądał zbyt groźnie. Tylko na pozór. Panna, jeśli nie były jej miłe zaloty podrywacza, dźgała go nim w dolne partie podbrzusza. Otrzewną i pęcherz przebijał swobodnie. A wtedy żadne *dżu-dżu* nie pomagało. Nawet jeśli niefortunny Casanova dotarł na czworakach do szpitala. Ongiś nosili go też mężczyźni, gdy obawiali się, że może ich na prowadzącej przez busz ścieżce zaatakować lampart. Lamparty wytępiono prawie doszczętnie, pozostała tylko dziewczęca cnota. Rożek *kahu marili* zamieniłem na słoneczne okulary. Włożyłem go sobie od razu na rękę. Dziewczyny poprosiły, aby je wysadzić tuż przed miastem. Może wstydziły się jechać z białym, bo zwykle powoduje to jednoznaczne komentarze. Drzwi się zacięły. Musiałem pomóc im wysiąść. Gdy otwierałem je z drugiej strony, mojej sąsiadce zsunęła się z ramion chustka. Na szyi i karku miała straszna, żywa, gnijąca ranę. Sięgała prawie twarzy. *Oh, sorry we are from village for lepra peoples*. Wiedziałem, że wioska trędowatych jest gdzieś w okolicy. W Kadunie na Kachia Road tuż przed przejazdem torów kolejowych też było ich osiedle. Autostopu jednak nie uprawiali. Znajomy Francuz, kontynuując sylwestrowy nastrój, zbagatelizował wydarzenie.- Cóż się martwisz? Pierwsze objawy i tak będą dopiero za dwa lub trzy lata, do tego czasu można dużo jeszcze wypić. Miał rację, jeśli nie całkowitą, to na pewno w części dotyczącej czasu, kiedy sprawa się wyjaśni. Poszliśmy w tango. Sami, we dwójkę. W którejś tam godzinie wróciłem do campagnoli. Szukałem „Mateusza”. Wziąłem ze sobą parę butelek, na wszelki wypadek. Głośnik radiotelefonu chrypiał, zapomniałem go wyłączyć. Usłyszałem jak gdyby moje zniekształcone przez Włochów na amerykańską modłę nazwisko: Majk, Majk. Wywoływał mnie Chica. Dostroiłem mikrofon. Kaduna nadała godzinę temu, że zginął Darek. Na szosie pomiędzy Dzos a stacją pomp. Miał awarię w układzie kierowniczym swego wozu. A może jako inspektor nadzoru komuś się zbyt uprzykrzył? Niespodziewanie przekraczając linię ciągłą szosy zderzył się czołowo z wielką ciężarówką. Z płonącego samochodu wypełzł na szosę. Poparzony, konał na poboczu. Tamten kierowca uciekł w busz. Przez parę godzin nie zatrzymał się żaden pojazd. Policja też nie była powiadomiona. W końcu któryś stanął, zauważono *czop-czop* - małpę. Przekazałem mieszkającemu samotnie Darkowi swojego Kazia, gdy mi ją zabroniono trzymać na campie. Był jeszcze przytomny gdy nareszcie trafił do szpitala. Tam jego los już się rozstrzygnął.

Samolot „Marco Polo”, którym wracałem do Europy, lądował na lotnisku Carthage pod Tunisiem. Tu wejdzie do morza 4 rurociąg Hassi R'Mel. Z afrykańskich pól naftowych ropa popłynie rurą o średnicy 48" do Bolonii. Proponują podpisanie następnego kontraktu. Może jednak będzie gdzieś można pożyczyć drugie życie?

Witold Stanisław Michałowski

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 02-03-2007)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5283) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5283>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl